

I do nikogo więcej. –J.

Jeśli go znajdziesz, nie otwieraj go przed grzmotem.

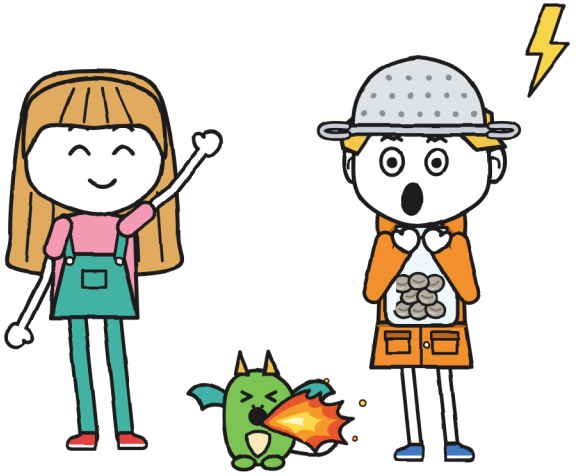


Ta pieczątka oznacza to, co zdarza się tylko w opowieści: ty tego nie rób. Jeśli trwa kilka stron, jest napisane OD TUTAJ i DO TUTAJ. W prawdziwej burzy obowiązuje ostatnia strona. –J.

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 2

Nie otwierać przed grzmotem

Lui Eriksson



ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 2

Nie otwierać przed grzmotem

Drugi tom serii. Pierwszy: „Ta paczka gryzie”.

Tekst i ilustracje: Lui Eriksson

Wersja polska: LinguAula

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

Wydanie pierwsze: 2026

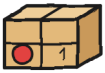
© 2026 Lui Eriksson · info@linguaula.com

Można swobodnie kserować – do klasy i do domu.

Kroje pisma: Andika, Patrick Hand, Caveat i Courier Prime (licencja SIL OFL).

Pracuj nad każdym rozdziałem
na linguaula.com

Podczas pisania tej książki żaden grzmot nie ucierpiał. –].



ROZDZIAŁ 1

Łowca burz

W sklepie naprzeciwko jest paczka, która drży.

W zeszłą sobotę ruszyła się raz jedyny. Od tamtej pory nie przestała: drobne, ciągłe drżenie, jak u małego psa w poczekalni u weterynarza. Trwa to już siedem dni. Z każdym dniem trochę mocniej.

A ja mam nowy zeszyt.

Zeszyt nr 1 mi się skończył. Mara, właścicielka Niemożliwych Dostaw, dała mi ten: z niebieską okładką i czerwoną pieczątką sklepu w rogu. Na pierwszej stronie napisałem tytuł, z jednym nowym słowem:

ZESZYT DOSTAW 2 Guniego. OFICJALNY.

„Oficjalny" znaczy, że czytam go ja pierwsza. Oficjalnie. –].

Mara mówi, że oficjalnych zeszytów się nie rysuje. Zobaczymy: w tym już jest jeden rysunek.

Co trzeba wiedzieć o tamtym zeszycie: dwie soboty temu Julita (ta od zielonych notatek) i ja doręczyliśmy nocą, przez kładkę i bez żadnego dorosłego, jajko, którego nikt nie potrafił doręczyć od lat. Teraz to Kruszynka, smocz̨atko, które naśladuje mnie we wszystkim. Mara, czarownica ze sklepu, ukarała nas: w każdą sobotę tutaj, o dziesiątej. A ja jestem nowy w dzielnicy i prawie wszystko, co moje, nadal leży w pudłach.

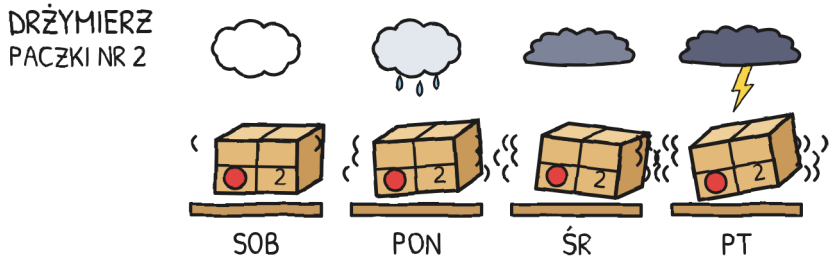
Ta, która drży, to nr 2. Stoi na regale ze zwrotami i ma etykietę, którą znam na pamięć: czytałem ją każdego popołudnia w tym tygodniu, na stojąco i bez dotykania, kiedy Mara udawała, że mnie nie widzi:

- NR 2 · OSTROŻNIE.
- DOKĄD: Flora, ul. Kanałowa 9.
- INSTRUKCJE: NIE OTWIERAĆ PRZED GRZMOTEM.
- NADAWCA: R.

Dookoła dwadzieścia trzy pieczątki ZWROT. Policzyłem je dwa razy, na wypadek gdyby któraś odpadła.

Zwrot to paczka, której nikt nie zdołał doręczyć: jeśli odbiorca nie podpisze jej tuszem, którego nie da się zmazać, o świcie wraca lotem na swój regał, rządkiem, jak kaczki. Zostało dziewiętnaście: napisane na ścianie na zielono pismem Julity, a to, co Julita napisze na zielono, się nie zmazuje. Wszystkie wysyła ta sama osoba, R., o której wiadomo tylko, że ma bardzo brzydkie pismo.

Każdego popołudnia zapisywałem, jak mocno drży i jaka jest pogoda: tak powstał DRŻYMIERZ PACZKI NR 2. W piątek chmura miała w sobie błyskawicę.



Nie drży ze strachu: idzie burza, w sobotę o szóstej wieczorem. Sprawdziłam w prognozie sześć razy. —J.

Przeczytałem tę notatkę dwa razy. Za drugim razem tylko fragment o szóstej.



W sobotę o dziesiątej Mara — w fioletowym kapeluszu, z pieczątką sypiącą iskrami o zapachu zgaszonej świecy — czekała na nas za ladą z paczką nr 2 w rękach. Nie na regale: w rękach. Obok pieczątki leżała gumowa żaba, moja od chwili, gdy przestała należeć do nikogo. Tonio, kurier BŁYSKAWICY, stał w kasku: w soboty też odrabia karę, a Tonio odrabia kary tak, jak rozwozi: punktualnie i niczego z siebie nie zdejmując.

— Dwadzieścia trzy razy sama ją nosiłam — powiedziała Mara. — I ani razu w czasie burzy.

Mara przesunęła kciukiem po etykiecie. Spojrzałem na witrynę, z każdą chwilą szarszą: dzisiejsza wyprawa nie będzie taka jak poprzednie.

— Tę — oznajmiła Mara — doręczycie wy. Dziś po południu.

Julita podskoczyła tak wysoko, że prawie dotknęła napisu ZOSTAŁO 19, a gdy opadła, już mówiła. Ja nie podskoczyłem: zostałem z dwoma słowami, „dziś po południu", i z godziną, szóstą, która ważyła więcej niż paczka.



Mara postawiła trzy warunki i odliczyła je na palcach:

1. Wychodzicie o piątej, zanim nadejdzie burza, i zostajecie u Flory, dopóki nie przejdzie.
2. Wasze rodziny już wiedzą, Flora też.
3. Zasada jest ta z etykiety: nie otwierać przed grzmotem. I to musi być grzmot nad głowami: te z daleka się nie liczą.

Rozpoznałem sztuczkę: to były prawie te same zasady, co po awanturze u Wery, opiekunki Kruszynki, tylko podane przed, a nie po. Mary przy tamtej awanturze nie było, a i tak się o niej dowiedziała: w tej dzielnicy awantury docierają szybciej niż paczki.

— A ty nie idziesz? — zapytała Julita.

— Ja mam tu coś do zrobienia — powiedziała Mara i spojrzała przez witrynę na niebo, które robiło się szare.

Na końcu lady leżał złożony koc, nauszniki narciarskie i rondel. Widziałem to wszystko. Patrzyłem dalej na paczkę.

Wtedy Julita spojrzała na mnie.

— A ty lubisz burze?

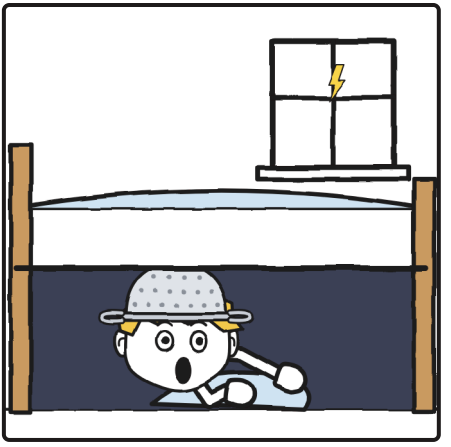
Zapytała, patrząc prosto na mnie. Mogłem powiedzieć prawdę. Powiedziałem to:

— Uwielbiam. W mojej dawnej dzielnicy byłem profesjonalnym łowcą burz.

W tamtym zeszycie kłamstwo wracało dzień i noc. W tym postanowiłem skrócić mu drogę: narysowałem kłamstwo jeszcze tego samego ranka, a w sąsiednim kadrze prawdę.

Durszlak był kuchenny, stalowy, z dwoma uchwytami. Nie zatrzymywał piorunów. Mnie pomagało mieć coś na głowie. Teraz tkwił w jakimś pudle z przeprowadzki, obok nożyczek, których mama szukała od tygodnia.





Julita nauczyła mnie liczyć burzę. W moim zeszycie, bez pytania o pozwolenie i na zielono.

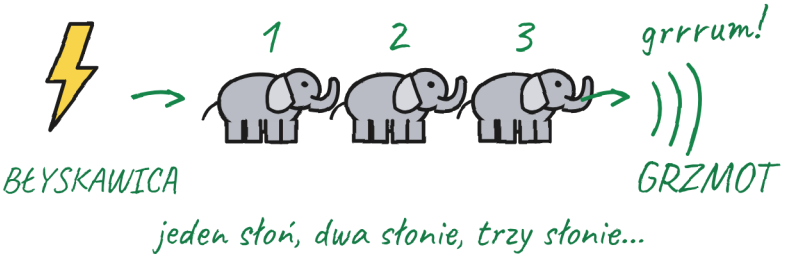
Liczy się od błyskawicy do grzmotu, w słoniach: „jeden słoń" trwa mniej więcej sekundę, a co trzy to kilometr. W ten sposób wiadomo, mniej więcej, jak daleko uderzył piorun; gdzie uderzy następny — nie. Liczenie nie mówi też, kiedy można wyjść, a to, według Julity, jest już inna zasada, bez rysunku: pół godziny od ostatniego grzmotu.

Spróbowałem po cichu i wyszły mi słonie superszybkie, takie, które się do niczego nie nadają. Ja niczego nie musiałem liczyć, bo ja uwielbiam burze, ale zapisałem, na wszelki wypadek.

Tonio przeczytał etykietę przez moje ramię, tak jak czyta wszystko, co nie jest jego.

— BŁYSKAWICA nie rozwozi w burzę — powiedział i pokazał nam drobny druk na swoim żółtym plecaku: PRZESYŁKI

BŁYSKAWICA · W DZIESIĘĆ MINUT ALBO ZA DARMO i, przez lupę Julity, gwiazdkę: *Chyba że burza.



— Burzy jeszcze nie ma — zauważyła Julita.

Tonio przeczytał drobny druk jeszcze raz, czy nie ma w nim czegoś o „jeszcze". Nie było nic.

Więc Tonio poszedł z nami. Słonie liczy jednym tchem, „razdwatrzy!", jakby to był rozwóz. Według Tonia wszystkie burze są o kilometr stąd. Nie wiem, czy to odwaga, czy brak słoni.

O piątej skoczyłem do domu po płaszcz przeciwdeszczowy; Julita czekała w bramie. Mama czekała w drzwiach mieszkania z płaszczem zwisającym z ręki. Ma teorię o pomarańczowym: że widać go z daleka. Nigdy nie wiedziałem, skąd zamierza patrzeć.

— Włóż pomarańczowy — powiedziała. — Na pewno chcesz iść? Przecież ty, jak grzmi...

— PA, MAMO!

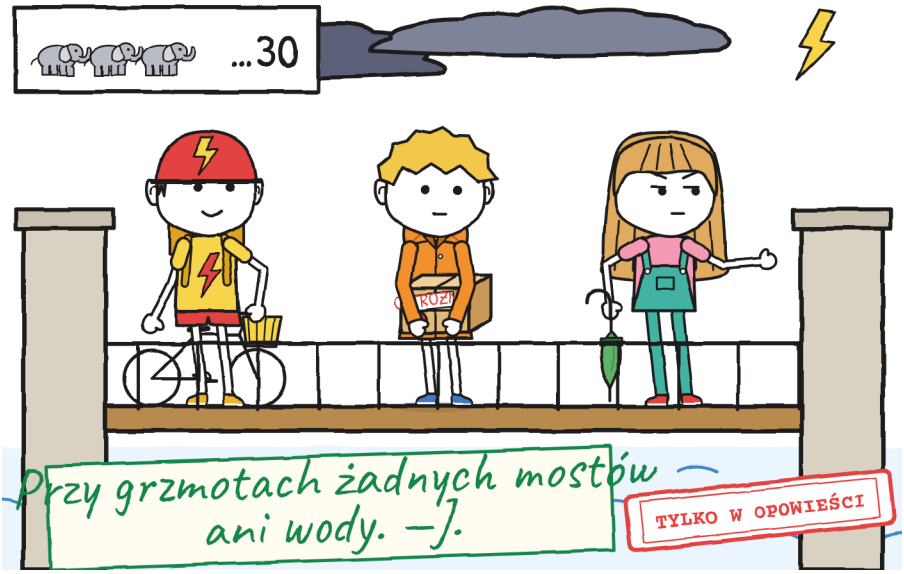
Zbiegłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Obliczyłem, że przy echu w klatce połowa zdania mamy zgubi się po drodze. Nie zgubiła się. Julita czekała na dole.

„Przecież ty, jak grzmi..." CO? –J.

Przeszliśmy przez Wielki Most z niebem coraz czarniejszym. Nocą go podnoszą, żeby przepuścić statki; w dzień przechodzą nim wszyscy, a o tej porze szliśmy tylko my i pewien pan, który spieszył się w przeciwną stronę, czyli w dobrą, kiedy nadchodzi burza. Niosłem paczkę nr 2 oburącz, bardzo prosto. Tonio prowadził rower: nigdy nie widziałem, żeby BŁYSKAWICA jechała tak wolno, nie będąc zgubioną.

Na środku Julita pomachała wodzie krótko, sucho, bez uśmiechu, jak komuś, kogo się nie lubi. Robi tak od nocy na kładce. Chyba taka jest umowa: ona macha, a woda ją przepuszcza.

Daleko rozjaśniło się niebo.



Mignęło za chmurami, bez dźwięku, jak wtedy, gdy ktoś zapala i gasi światło w pokoju, w którym cię nie ma. Julita stanęła jak wryta i po cichu liczyła słonie, z zamkniętymi oczami. Doliczyła do trzydziestu, zanim cokolwiek usłyszała. Ja liczyłem razem z nią, w środku, swoimi superszybkimi słoniami, i wyszło mi czterdzieści dwa.

Grrrum.

— Jakieś dziesięć kilometrów do tej błyskawicy — oceniła. — Według prognozy burza ma być o szóstej.

— Zagrzmiało! — wykrzyknął Tonio. — Można już otwierać?

— Do otwierania paczki ten się nie liczy — powiedziała Julita, nie otwierając oczu. — To dziesięć kilometrów stąd; ten z

etykiety jest nad głową: zero słoni. Ale już słychać grzmot, więc pod dach! Biegiem!

Pobiegłem do ulicy Kanałowej, udając, że niczego nie słyszałem. Ani grrrum, ani tej szóstej.

— Czy to było HYK? — zapytała Julita, nie zwalniając kroku.

— Nie — powiedziałem. — HYK!



Tonio zgiął się nad kierownicą i śmiał się tak, że rower odjechał mu w bok. Julita się nie śmiała. Zmrużyła oczy, jak wtedy, gdy czyta coś, czego nie napisano.

Grzmot, czknięcie: mam tak od małego. Jeśli burza jest daleko, na jednym się kończy; jeśli nad głową, przychodzi drugie i trzecie, co trzy sekundy, aż sobie pójdzie. To nie strach. To coś, co robi moje ciało bez pytania mnie o zdanie, jak rośnięcie albo kichanie, i tak jak rośnięcia, nie da się tego zatrzymać, robiąc minę. Wiem, bo próbowałem ze wszystkimi minami.

To się nazywa strach. –].

Na ulicy Kanałowej Wera, ta z rudymi włosami, już czekała przy drzwiach Domu Smoków, tuż obok drzwi Flory, z Kruszynką na rękach. Kruszynka, gdy tylko mnie zobaczyła, zrobiła moją minę: robi tak zawsze, patrzy na mnie sekundę, sprawdza, jaką mam minę, i ją przybiera.

Postawiłem paczkę nr 2 w koszyku roweru Tonia i otworzyłem ramiona.

— To jej pierwsza burza — powiedziała Wera i oddała mi ją w ramiona. — Naśladuje cię we wszystkim, Guni. Także w tym, co czujesz. Jeśli się przestraszy, nie ciągnij jej: ona się trzyma. Kiedy burza przejdzie, trzy uderzenia w murek na podwórku Flory, a ja po nią przyjdę.

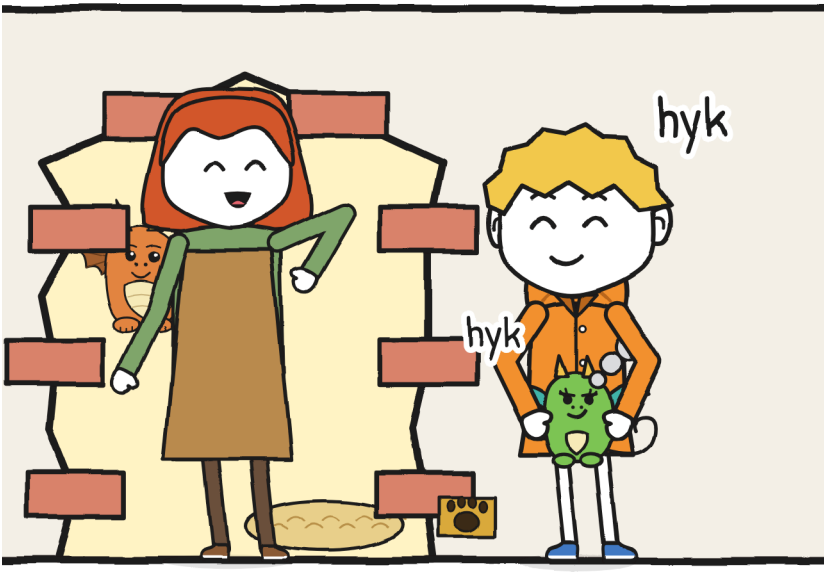
— Ja nic nie czuję — odpowiedziałem. — Ja uwielbiam burze.

Powiedziałem to z wypiętą piersią, a Kruszynka w moich ramionach wypięła pierś tak samo, z wyciągniętą szyją: żywy obraz kogoś, kto uwielbia burze, w dwóch rozmiarach. Wera spojrzała na nas oboje, jedno na drugim, z tą samą miną, i nic nie powiedziała. Wera zachowuje rzeczy na chwilę, kiedy będą potrzebne.

Daleko zagrzmiało. Ja czknąłem. Kruszynka czknęła i z nozdrzy poleciał jej dym.

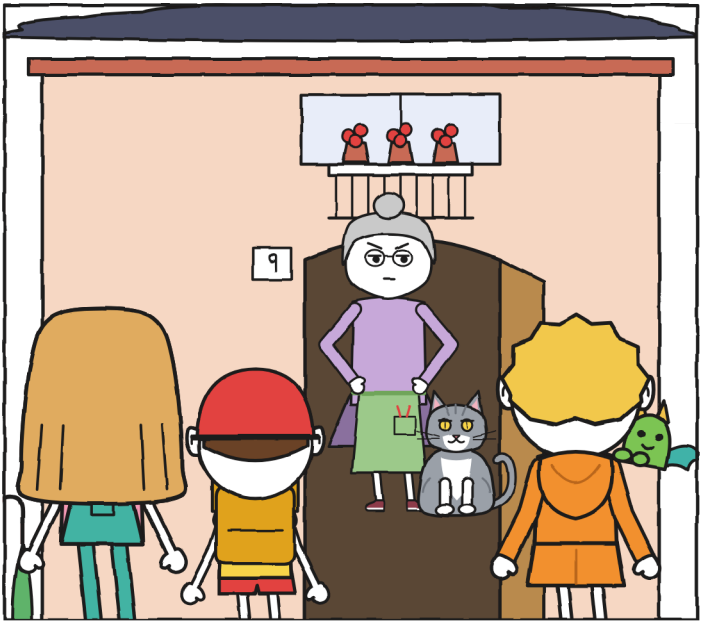
— Do środka, już! — ucięła Wera i popchnęła nas ku drzwiom Flory.

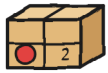
Dom Flory to ten z pelargoniami na balkonie, z którego jakaś pani przyglądała się nam dwie soboty temu, z konewką w powietrzu.



Otworzyła drzwi, zanim zapukaliśmy: starsza pani z siwym koczkiem i w okularach, w zielonym fartuchu ogrodniczki pełnym kieszeni, a między jej stopami szary kot z białą piersią, który spojrzał na nas jak na paczkę nie dla niego. Ona spojrzała na pudło. Spojrzała na niebo. Spojrzała na Kruszynkę. W tej kolejności, każdej rzeczy poświęcając tyle samo czasu, czyli niewiele.

— Smocząteko Wery. Niech mi nie przypali paproci — powiedziała. — Wchodźcie, bo idzie ulewa. Ale uprzedzam: ja nie podpisuję kamieni.





ROZDZIAŁ 2

Grzmot!

Kuchnia Flory jest pełna roślin: na stole, na podłodze, wiszących pod sufitem. Zostawiają między sobą wąskie przejścia, którymi trzeba umieć chodzić. Paprocie, te, których Kruszynka nie powinna przypalić, sięgały dokładnie na wysokość jej nosa.

Na końcu szklane drzwi prowadzą do szklarni; tylne, drewniane, z szybą u góry i kocią klapką u dołu, na podwórko. Przez szybę widać było, jak zaczyna padać na płyty. Pachniało mokrą ziemią, zapachem, który znałem z parków, a nie z kuchni.

Na szkle szklarni były namalowane krople. Jedna zaczęła się wspinać. Następna ją wyprzedziła.

— Zaczarowane szyby od R. — powiedziała Flora. — Przepuszczają deszcz, kiedy ja chcę. Piorunów — nigdy. Hałas przechodzi zawsze, trudno.

Schowałem to na kartę R.: R. umie robić zaczarowane szyby, a od dwudziestu trzech prób nie potrafi dostarczyć słoika.

Na lodówce magnes trzymał fotografię. A na gwoździu przy zlewie, między patelnią a pękiem suszonych ziół, wisiał stalowy durszlak z dwoma uchwytami. Zobaczyłem go od progu, wcześniej niż rośliny: człowiek od razu widzi to, czego od tygodnia szuka w niewłaściwych pudłach.

Tonio wstawił rower do korytarza, bo padało, i został przy nim, w drzwiach kuchni, z połową ciała w środku: tak Tonio wchodzi tam, gdzie nie jest u siebie. Kot przeszedł mu między nogami, a Tonio odsunął się bardziej, niż było trzeba, żeby go przepuścić. Pomyślałem, że nie chciał, żeby ktoś ocierał się o jego rower.

Flora położyła pudło na stole, odsunęła łokciem dwie donice i otworzyła je bez pytania. Bez pytania i bez czytania etykiety: wiedziała, w którym miejscu ustępuje karton pudła otwieranego wiele razy. W środku, wśród słomy, stał szklany słoik z korkiem, a w słoiku osiem szarych kuleczek.

— Jest napisane, żeby nie otwierać przed grzmotem! — krzyknęła Julita.

Julita wskazała etykietę palcem. Trzeci warunek Mary wytrzymał tyle, ile trwa podniesienie przez starszą panią klapki pudła.

— Otworzyłam pudło, nie słoik — powiedziała Flora. — A co w środku, już wiem: od R. miały być lampioniki, a przychodzą kamienie.

Zabrzmiało to jak dawna skarga, taka, którą już się nie mówi po to, żeby ktoś usłyszał, tylko dlatego, że wypada. Spojrzałem na słoik. Kuleczki były szare, gładkie, jak małe orzechy, i leżały nieruchomo tak, jak nieruchomo leżą tylko kamienie. Nie umiałbym powiedzieć, że nimi nie były. W zeszycie, obok słoika, narysowałem strzałkę: „kamienie?". Ktoś dopisał drugą, na zielono: „lampioniki?".

— Co to jest lampionik? — zapytałem.

Te, które znałem, były z papieru, kolorowe, wieszało się je na sznurku między dwoma balkonami na święta; trwały do pierwszego deszczu. Ale nie wydawało mi się też, żeby ktokolwiek wysyłał kamienie z pieczątką.

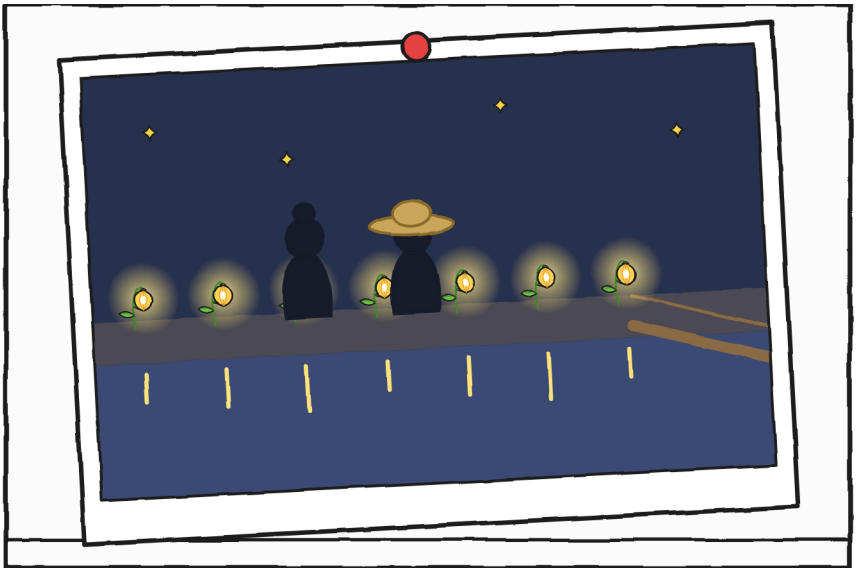
— W BŁYSKAWICY kamienie liczy się na kilogramy — powiedział Tonio od drzwi.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. On sam też nie.

Flora podeszła do lodówki, odkleiła fotografię spod magnesu i położyła ją na stole, przed nami, obok słoika.

To była stara fotografia: bulwar nad kanałem nocą, z rzędem niskich, okrągłych światełek na brzegu, jedno za drugim, aż do miejsca, gdzie zaczyna się kładka. To nie były latarnie: wyrastały z ziemi, jakby ktoś posiał żarówki. Na pierwszym planie, tyłem, dwie osoby coś sadziły: jedna miała koczek; obok niej, słomkowy kapelusz tak duży, że nie było widać, kto pod nim jest. Nie zapytałem o kapelusz. Flora nic o kapeluszu nie

powiedziała. Między tymi dwoma milczeniami zmieściłaby się cała osoba.



— To rośliny, które chowają światło błyskawic i świecą całą noc — powiedziała Flora. — Nasiona dostawałam rozbudzone, w noce burzowe, a ziemię dokładałam ja. Uśpionych nie widziałam nigdy. Lampioniki gasły jeden po drugim. R. już nie przychodzi. Teraz przysyła ten słoik.

Flora przykleiła fotografię z powrotem do lodówki. Wyszła krzywo. Poprawiła ją palcem i została tam chwilę dłużej.

Dlatego kanał nocą jest taki ciemny. Kładce zgasły światła i nikt ich już nie zapalił. Dlatego tak straszy.

Straszyła. Mnie bardzo: przeszłam po ciemku. —J.

Julita napisała tę notatkę, nie odrywając oczu od fotografii na lodówce. Kładka to ta deska nad kanałem, po której przeszliśmy dwie soboty temu, ona tyłem, a ja mówiłem jej, gdzie stawiać stopy.

— R. zawsze dotrzymuje słowa — powiedziała Flora. — Późno, ale dotrzymuje. Tym razem coś poszło nie tak.

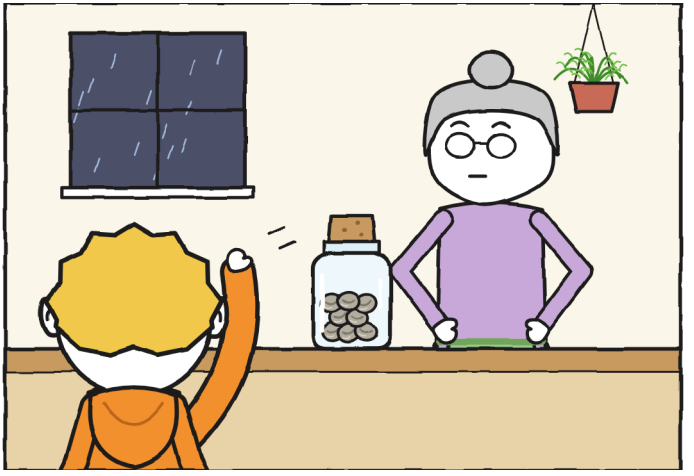
Zapisałem te dwa zdania na osobnej karcie, tej od list, które rosną: CO WIEMY O R., z portretem, który jest znakiem zapytania. Miała dwie linijki, obie z zeszytu nr 1: brzydkie pismo, według Mary, i minę Wery na widok tego inicjału. Z szybami tego wieczoru przybyły trzy, a portret został taki sam.

— A czekała pani kiedyś na grzmot, żeby go otworzyć? — zapytałem.

Flora spojrzała na mnie znad okularów. Opuściłem rękę, którą nie wiem czemu podniosłem, żeby zapytać.

— Ja na nikogo nie czekam — powiedziała. — Nawet na grzmot.

Julita kiwnęła głową, nie zdając sobie z tego sprawy. Zauważyłem to i zamilkłem.



Kot Flory nazywa się Grzmot. Imię ma napisane na swojej niebieskiej misce, białymi literami, przy kociej klapce, a ja przepisałem je do zeszytu, z rysunkiem miski i wielkimi literami, bo potem będzie ważne: GRZMOT. Zapisuję imiona wszystkiego, co mogłoby mnie przestraszyć; nauczyłem się tego na paczce, która okazała się mieć zęby. Jest szary jak chmura deszczowa, z białą piersią i żółtymi oczami, a kiedy leży przy lodówce, mruczy tak nisko i tak ciągle, że brzmi jak daleki grzmot, taki, od którego jeszcze się nie czka.

Kiedy czekaliśmy na burzę, w kuchni działo się wszystko i nic.

Julita bębniła palcami w stół, tup, tup, tup, obok słoika, w rytmie kogoś, kto sześć razy sprawdził prognozę i teraz chce już tylko, żeby się zaczęło. Flora otworzyła puszkę z ciastkami i postawiła ją pośrodku, nie mówiąc „częstujcie się”; było

wiadomo. Tonio, który nie zdjął kasku nawet po to, gryzł jedno, kiedy daleko zagrzmiało, grrrum, które prawie nim nie było. Czknąłem. Kruszynka czknęła i wyleciał z niej krótki płomyczek, który przeleciał Toniowi przed ciastkiem i przyrumienił je. Tonio spojrzał na nie, powąchał i zjadł mimo wszystko.

Flora, nic nie mówiąc, przysunęła wiaderko z wodą, które miała przygotowane, i postawiła je na podłodze obok Kruszynki. A Grzmot, który do tej pory udawał, że nas nie ma, zobaczył Kruszynkę, zjeżył cały grzbiet i stanął przed nią z puszystym ogonem. Kruszynka schowała się za moimi stopami. Ja, nie wiedząc kiedy, schowałem się za Julitą. Staliśmy w rządku: kot, smocżątko, chłopiec i dziewczynka z palcami na stole, która się nie ruszyła.

Najgorsze w grzmocie jest czekanie na niego. –J.

Burza się zbliżała. Było to widać w oknie, które nabierało koloru tablicy, i widać w słoiku: kuleczki, które do tej pory leżały nieruchomo jak kamienie, zaczęły dzwonić o szkło, cienkie dzyń, które najpierw wziąłem za deszcz, a potem już nie. Coraz mocniej. Jakby w środku też liczyły. Kamienie nie liczą. Pomyślałem to i nie powiedziałem: Flora już raz spojrzała na mnie znad okularów.

Julita liczyła szeptem przy każdej błyskawicy: „Dwanaście słoni". „Dziewięć". Liczby malały. A za każdym razem, gdy malały, jej stopa pod stołem ruszała się mocniej, stukając o podłogę w rytmie niczego. Widziałem to stamtąd, gdzie siedziałem. Powiedziałem jej, że wydepcze dziurę w podłodze;

odpowiedziała, że liczy. Julicie nie da się powiedzieć, że ma stopę.

Wtedy Kruszynka zrobiła kolejny płomyczek, mały, bez czknięcia, z samych nerwów, a Grzmot, który był o piędź od niej, wystrzelił przez kocią klapkę na podwórko, w deszcz, z odgłosem pokrywki: klak. Flora szarpnięciem otworzyła tylne drzwi i zawołała go z progu, całym głosem, który ma, a ma go dużo:

— GRZMOOOT!



Jeśli ktoś mnie zapyta, ręka Julity już była na korku, zanim padł ten krzyk. Nikt mnie nie zapytał.

I Julita otworzyła słoik.

POP!

Dźwięk był mały i okrągły, korkowy, i słychać go było doskonale, bo w kuchni przez pół sekundy nie było słychać nic innego. Julita uniosła korek z miną kogoś, kto wypełnił zasadę co do joty.

— Zagrzmiało! — powiedziała.

Nie zagrzmiało. To Flora krzyknęła. Grzmot to kot.

Czknąłem, przy okazji. Nie dlatego, że zagrzmiało: dlatego, że ktoś krzyknął „grzmot" dwa metry ode mnie, a moje ciało nie rozróżnia. Kruszynka czknęła z płomyczkiem, a Tonio zatkał uszy obiema rękami, za późno.

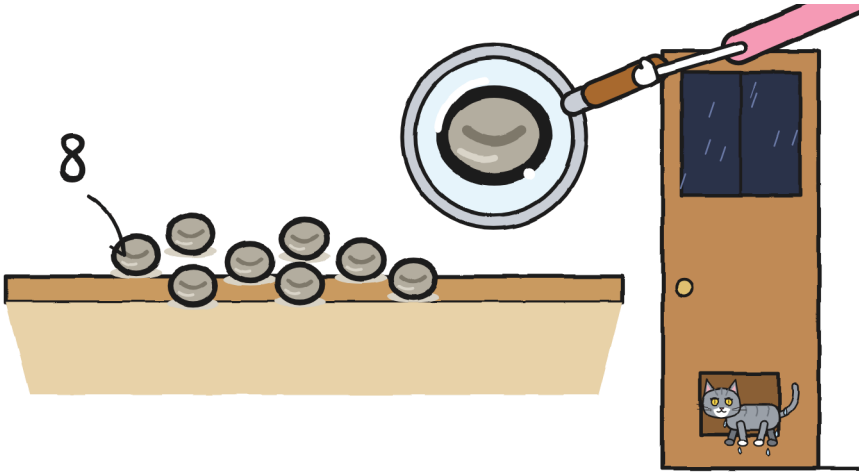
To o kocie zapisałem chwilę wcześniej, obok rysunku miski z jej białymi literami, żeby było jasne.

Tę stronę przeczytałam później. —J.

W słoiku było już tylko osiem szarych kuleczek, zimnych i nieruchomych. Nic się nie zapaliło, nic nie podskoczyło, nic nie zadzwoniło. Julita, która nie należy do tych, co się poddają za pierwszym razem, wysypała je ostrożnie na stół i wyjęła lupę z kieszeni ogrodniczek. Ja policzyłem je palcem: osiem. Tak robię, kiedy nie wiem, co robić. Liczę.

— Mają kreseczkę — powiedziała. — Jak zamknięte oko.

Spojrzałem przez lupę, pożyczoną. Każda kuleczka miała cieniutką, wygiętą kreskę. Wyglądała jak powieka.



Grzmot wrócił sam przez kocią klapkę, przemoczony, z przyklejoną sierścią i o połowę mniejszy, i otrząsnął się dokładnie nad wiaderkiem Kruszynki, które było już pełne. Flora zamknęła tylne drzwi, otarła ręce w fartuch i spojrzała na stół.

— To kamienie — powiedziała. — I ktoś otworzył słoik przed grzmotem.

Nie spojrzała na Julitę, mówiąc to. Nie musiała. Julita zrobiła się koloru swojej koszulki, różowego, i schowała lupę do kieszeni bardzo powoli, jakby powolne chowanie było sposobem na to, żeby niczego nie otwierać.

Ja się nie znam na roślinach. Miałem kiedyś soczewicę na waciku i nie przeżyła przeprowadzki. Ale Flora powiedziała „uśpionych nie widziałam nigdy", a ja nie mogłem przestać myśleć o tych zamkniętych kreseczkach.

— Śpią — powiedziałem. — To nie kamienie, to nasiona. Dlatego jest napisane „nie otwierać przed grzmotem". Może grzmot je obudzi. Taki gruby, od którego drżą szyby.

Uśpione nasionko to kamień z planami.

Flora usiadła po raz pierwszy, odkąd przyszliśmy. Spojrzała na kuleczki. Potem powiedziała:

— Jeśli to nasiona, niech to udowodnią.

Na dworze było już prawie ciemno. Była szósta. Godzina, którą Julita sprawdziła sześć razy.

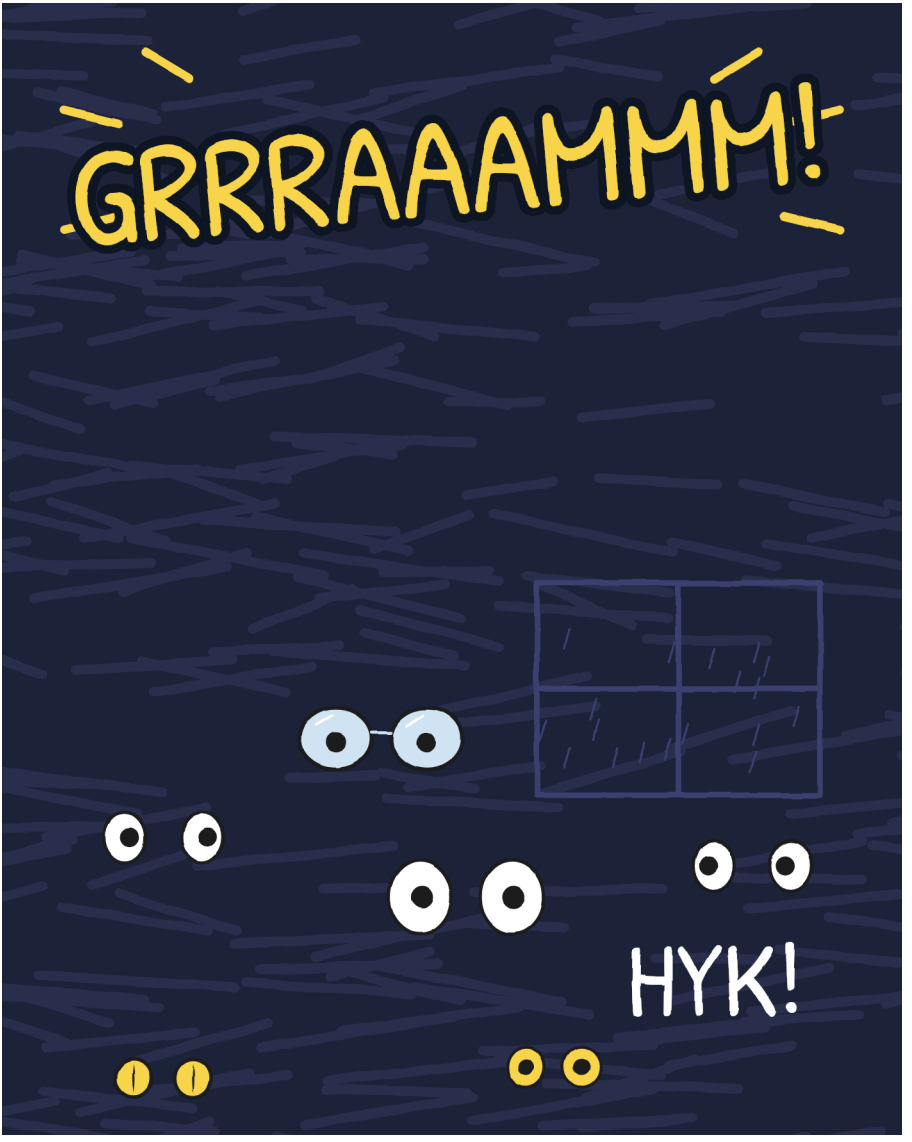


Błyskawica zrobiła wszystko białym.

Bez ostrzeżenia. Chwilę wcześniej kuchnia była kuchnią, z roślinami, lodówką i mokrym kotem, a w następnej była czarno-białym rysunkiem kuchni: każdy liść wycięty, każdy z nas z cieniem przyklejonym do ściany, okno zamienione w kartkę światła. Julita otworzyła usta, żeby liczyć, i zdążyła tylko powiedzieć „jeden sło...".

I wtedy przyszedł ten prawdziwy.

Grzmot nadszedł w tej samej chwili co błyskawica: burza była nad nami. To nie był hałas; to było popchnięcie. Zadrżały stół, szklanki i szyby, a we mnie zadrżało coś, czego nie ma na schemacie słoni. Zero słoni. Nad nami.



I zgasło światło.

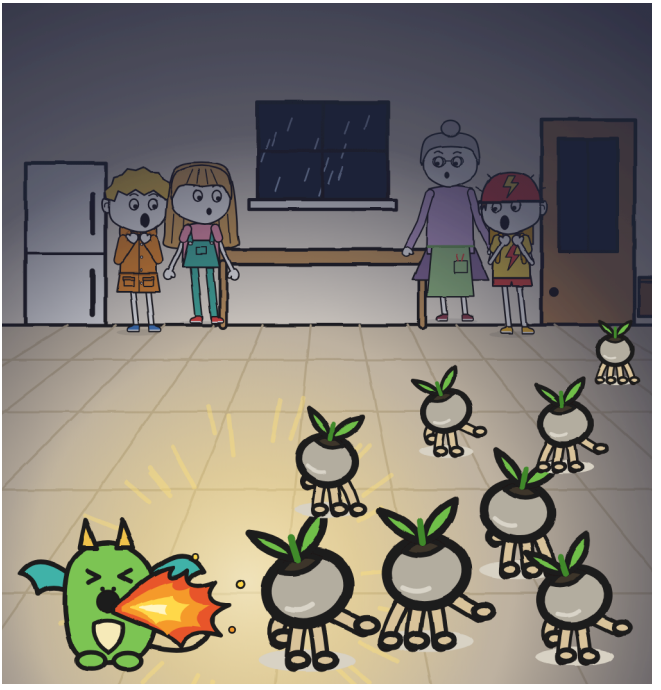
Zgasło całkiem, z tym kliknięciem lodówki, która przestaje szumieć, i kuchnia stała się czarna jak dno zamkniętego pudła. Były tylko oczy: moje, które czułem otwarte za szeroko, oczy innych i dwie żółte przy moich butach. Nikt nic nie powiedział. Słychać było deszcz na szybach i, bardzo nisko, mały, szybki oddech w rytmie mojego.

Czknąłem.

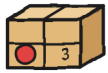
Kruszynka czknęła i buchnął z niej płomień.

Przez sekundę widać było całą kuchnię.

Stół był pusty.



Kamienie miały nóżki.



ROZDZIAŁ 3

Ruszają się, gdy nie patrzysz

W ciemności słychać było odgłos drobniutkiego deszczu: tik, tik, tik. Ten na dworze padał. Ten biegł po podłodze.

Błyskawica.

Nasiona były dalej. Nieruchome, na swoich czterech nóżkach i z dwoma listkami. Jedno zostawiło nóżkę w powietrzu. Miało taką minę, jak ja, kiedy mama pyta, kto czegoś dotykał.

Znowu ciemność: tik, tik, tik.

Czknąłem. Kruszynka czknęła. Jej płomień przyłapał trzy nasiona w pół kroku. Pozostałe biegły dalej.

To „raz, dwa, trzy, baba jaga patrzy". Z nasionami. –J.



Flora zapaliła latarkę. Skierowała ją na jedno nasionko i przygwoździła je. Skierowała na drugie. Pierwsze uciekło.

— To nasiona! Są obudzone!

Zapomniała zrobić zły głos.

— Mówiłem — mruknąłem.

— To mi pomóż je zatrzymać.

Julita przykucnęła. Wciąż miała korek w jednej ręce. Schowała go do ogrodniczek, a drugą dłoń otworzyła przed nasionkiem.

Chybiła o palec.

Przy kolejnej błyskawicy zobaczyliśmy, dokąd biegną: wszystkie do kociej klapki.

Flora przeciągnęła ogromną donicę i zagrodziła im drogę.

— Szukają ziemi zmoczonej burzą. W domu jest tylko ziemia podlewana wodą z kranu. Na zewnątrz prawie nie ma ziemi: płyty, ścieżka i kanał. Jeśli wyjdą, deszcz zmyje je do wody.

Spojrzałem przez szybę. Nasionko na czterech nitkowatych nóżkach wytrzymałoby tam tyle, co papier w kałuży.

Klapka została zasłonięta. Ale teraz nasiona były po całej kuchni, w ciemności, a w kuchni jest sto miejsc, gdzie można się schować: pod lodówką, za wiaderkiem, między donicami, w konewce i pod stołem, czyli tam, gdzie siedziałem ja, z durszlakiem Flory na głowie. W domu, kiedy grzmi, zakładam

taki; ten wisiał na gwoździu przy zlewie, a moje ręce zdjęły go same.

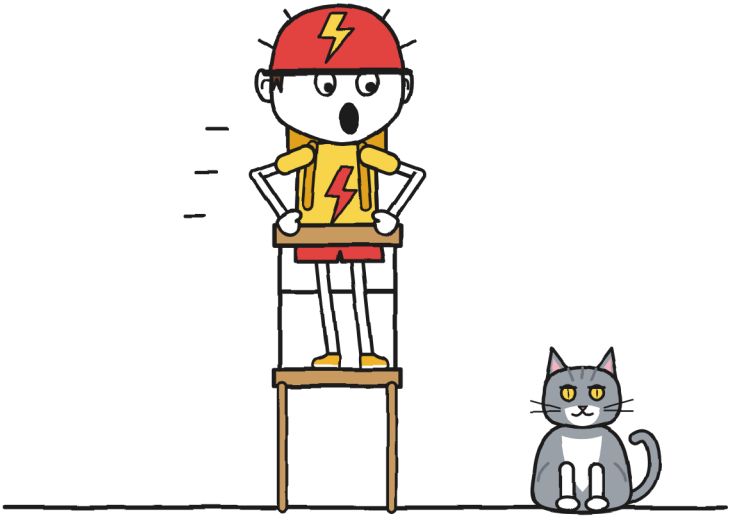
Próbowaliśmy wszystkiego:

1. Julita rzuciła chustę na jedno nasionko, rzuciła się na nie, uniosła chustę, a pod nią był... Grzmot. MRRRAU! Wyszedł spod chusty tak, jak koty wychodzą zewsząd: śmiertelnie obrażony, i słusznie.
2. Tonio gonił jedno na czworakach pod krzesłami, a Grzmot, który nie wie, co to kurier, wskoczył mu na plecy i został tam, zachwycony przejażdżką. PRECZ!
3. Ja, pod stołem, czknąłem. Kruszynka czknęła, a jej płomień unieruchomił nasionko o dwie piędzi od ręki Julity, która je złapała. „Jedno!"
4. Flora przygwoździła latarką kolejne i podniosła je ze spokojem, z jakim podnosi się śliwkę z podłogi. „Dwa!"

Grzmot też je gonił. On widzi prawie w ciemności. My — nie. Kiedy my potykaliśmy się o krzesła i po omacku przepraszaliśmy się nawzajem, Grzmot przechodził pośrodku niczego nie dotykając i było widać, że gra w innej lidze.

Tonio nie boi się burz. Tonio boi się kotów.

Odkryliśmy to, gdy Grzmot zeskoczył mu z pleców, a Tonio, zamiast odetchnąć z ulgą, wszedł na krzesło i został tam na stojąco, sztywny, w kasku, ze stopami jak najdalej od podłogi, na ile pozwalała mu długość nóg. Grzmot usiadł pod spodem, spokojny, i zaczął mu się przyglądać jak witrynie.



— To nie kot! — powiedziała mu Julita. — To Grzmot!

— GORZEJ!

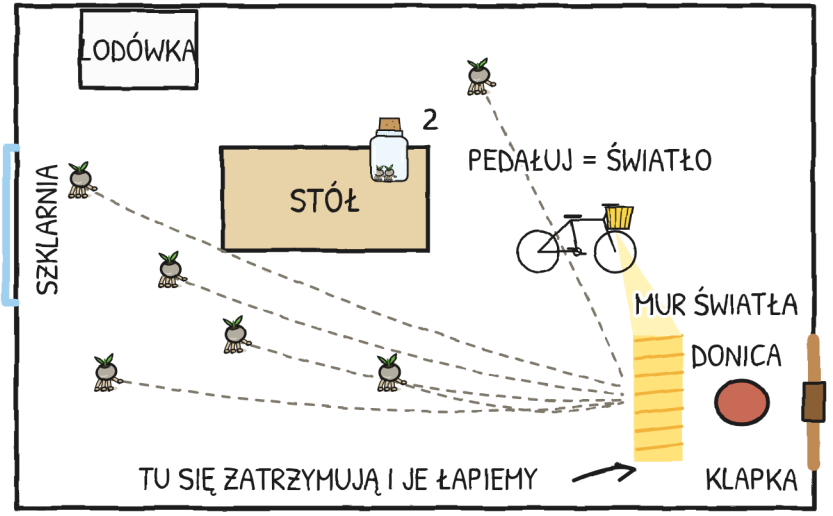
Piszę to bez śmiechu, bo nie mam prawa. Tonio miał swój strach postawiony na krześle, gdzie widział go każdy. Mój siedział pod stołem, z durszlakiem.

Profesjonalista od tego, co pod stołem. —J.

Stamtąd, z dołu, przy każdej błyskawicy widziałem całą podłogę. Nasiona krążyły między krzesłami, ale zawsze wracały pchać donicę przy kociej klapce. Nie pchały mocno. Pchały zawsze.

Narysowałem więc plan.

Narysowałem go błyskawicami, jedna kreska na błyskawicę, z zeszytem na kolanie: jedyny sposób, jaki znam, żeby myśleć szybko. Taki plan ma krzywe linie, ale strzałki idą wszystkie w to samo miejsce i o to chodziło. Przed kocią klapką postawiłem MUR ŚWIATŁA, a obok rower: PEDAŁUJ = ŚWIATŁO.



— Tonio, czy twoja lampa zapala się, kiedy pedałujesz?

— Pewnie.

— To dziś będziesz rozwozić światło.

Flora oświetliła plan. Julita wyjrzała spod obrusu. Tonio zszedł z krzesła: dla roweru schodzi się z czegokolwiek.

Ustawiliśmy rower na stojaku, z lampą skierowaną na kocią klapkę. Dynamo BŁYSKAWICY jest przy tylnym kole: jak się kręci, jest światło. I Tonio zaczął pedałować.

Pedałował, jak jeszcze nigdy w życiu. Zwłaszcza gdy Grzmot na niego wskoczył.

Trzeba to zobaczyć, żeby zrozumieć, więc to narysowałem.



Rower, który nigdzie nie jechał, pedałowany przez kogoś, kto wolałby być bardzo daleko. Światło wyszło z lampy, najpierw żółte i drżące, potem białe i proste, i stanęło przed kocią klapką jak ściana. To był mój MUR ŚWIATŁA, w rzeczywistości, z kroplami potu.

Nasiona docierały do światła i zastygały, a my łapaliśmy je jedno po drugim i wkładaliśmy do słoika. Trzy. Cztery.

Wyszedłem spod stołu i uklęknąłem na czworakach obok Julity, na skraju światła. Nasiona stawały na kresce i znieruchomiały. Ważyły niewiele więcej niż szklana kulka. Trzeba było szybko zamknąć palce: gdy tylko cień do nich docierał, próbowały znowu.

Grzmot złapał jedno w pysk, a Flora wyjęła mu je dwoma palcami.

— Pięć! — powiedziała.

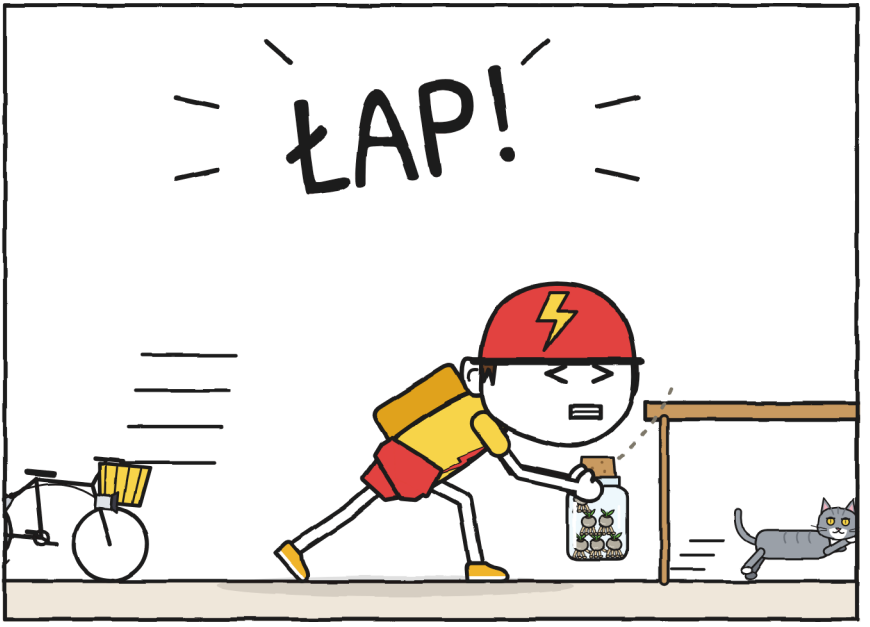
Sześć.

Julita wyjęła korek z ogrodniczek, a Flora zamknęła słoik, mocno dociskając, żeby tych sześć nie wpadło na pomysł ucieczki. Potem schyliła się, żeby nam pomóc. Wtedy Grzmot wskoczył na stół i go przewrócił.

Widziałem, jak spada, kątem oka, bardzo powoli: słoik z korkiem, który robił w powietrzu pełny obrót. I widziałem, jak Tonio puszcza pedały, wylatuje z roweru wyciągnięty jak bramkarz i zamyka obie ręce o pięć nad podłogą. ŁAP!

— BŁYSKAWICA — powiedział, leżąc na kafelkach, ze słoikiem w górze. — W sekundę albo za darmo.

To była najszybsza dostawa, jaką widziałem w życiu. Przyznaję to tu, w zeszycie, bo na głos mi nie wyszło: wyszło mi czknięcie.



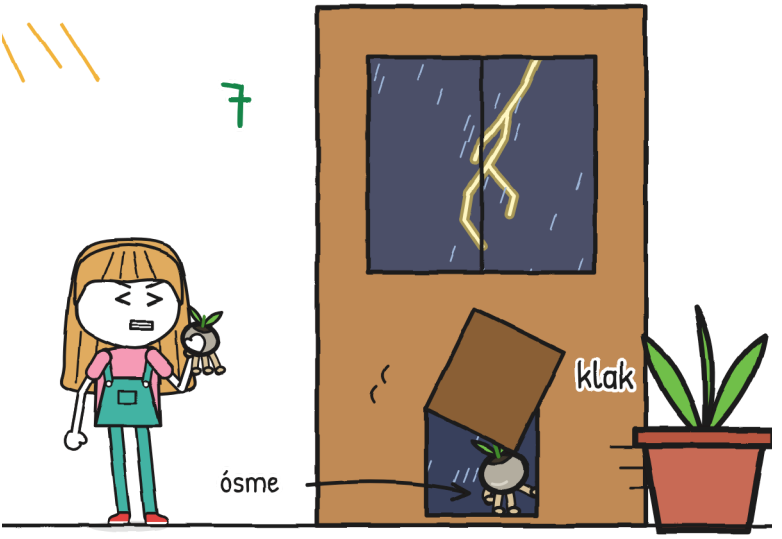
Ale przestał pedałować i światło zgasło. A Grzmota nikt nie zatrzyma: wystrzelił do kociej klapki.

W ciemności: tik, tik, tik. Potem szur: donica odsunięta przez kota, który chciał wyjść i wyszedł. Klak: klapka. A za nim, bardzo szybko, drugie tik, tik, tik, które nie było Grzmotem.

Kiedy znów błysnęło, na podłodze zostało jedno nasionko, a Julita je złapała. Flora odkorkowała słoik akurat tyle, żeby weszło, i znów docisnęła korek. Siedem.

Przy tej samej błyskawicy zobaczyłem przez szybę drzwi podwórko z płyt, lśniące w deszczu, ścieżkę, a pośrodku ścieżki maleńkie nasionko, zatrzymane w pół kroku, z listkami zgiętymi

przez wodę. Potem znów zrobiła się noc. A przy następnej błyskawicy na ścieżce nie było już nic.



Ósme uciekło przez kocią klapkę.

— Idę po nie! — powiedziała Julita, z ręką już na klamce.

— Przy piorunach z tego domu nikt nie wychodzi — ucięła Flora. Nie była w nastroju do dyskusji.

Flora stanęła przed drzwiami, tyłem do szyby, z rozłożonymi rękami. Julita zerknęła przez jej ramię: ścieżka, kanał, deszcz. Zacisnęła szczękę.



Julita nie dyskutowała. Ale też nie puściła klamki.

Po jakimś czasie klapka zrobiła klak. To był Grzmot, znowu przemoczony, z przyklejoną sierścią i miną kota, który w życiu nie przesunął żadnej donicy. Wrócił sam. Bez ósmego. Flora znów dosunęła nogą donicę do klapki, na wszelki wypadek, a on poszedł usiąść pod stołem, jakby burza była naszą sprawą.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał; tylko ja, a to, co mówiłem, to było czknięcie. Na dworze niebo znów się rozjaśniło.

— Błyskawica... jeden słoń, dwa słonie.

Grrrum.

— Dwa — policzyła Julita. — Nadal bardzo blisko.

Powiedziała to z ręką na klamce, patrząc na drzwi, nie na nas. Dwa słonie to mniej niż kilometr. Godzinę wcześniej dla mnie byłaby to najgorsza wiadomość wieczoru; teraz była druga w kolejności.

— To teraz je sadzimy — powiedziała Flora. — Zanim burza odejdzie. I po ciemku.

— Mimo piorunów? — zapytała Julita, nie puszczając klamki.

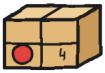
Flora wskazała krople, które wspinały się po szybie szklarni.

— Zaklęcie nadal działa. Pioruny zostają na zewnątrz. My — w środku.

Spojrzeliśmy na słoik. W środku było siedem nasion, niektóre z łapkami przyklejonymi do szkła, jakby je mierzyły, a na szkle drżało odbicie każdej błyskawicy. Siedem z ośmiu. Ja, który liczę rzeczy, zostałem z tą liczbą: to nie osiem, ale też nie zero, i tej nocy wydało mi się, że z siedmioma można zacząć.

— Po ciemku — powtórzyła Flora, patrząc na Kruszynkę.

A Kruszynka, patrząc na mnie, czknęła.



ROZDZIAŁ 4

Hyk

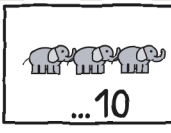
Flora wyjaśniła nam, jak się sadzi lampionik, tak, jak nauczył ją R., a ja zapisywałem to, mocno dociskając flamaster: cztery kroki, a najważniejszy był ostatni, ten o terminie.

JAK SIĘ SADZI LAMPIONIK

1. 
Ziemia zmoczona burzą.
(Ta z kranu się nie nadaje.)

2. 
Otworzyć słoik nad ziemią.
(Jeśli otworzysz przed czasem, uciekną.)

3. 
Wszystko po ciemku: same wchodzą w ziemię.
(Jeśli sam je zakopiesz, nie wyrosną.)

4. 

Zanim burza odejdzie:
przy więcej niż dziesięciu słoniach, już się nie sadzą aż do następnej.

Do dziesięciu słoni nasionka są obudzone. Od jedenastu – idą spać. –].

Dwa terminy, więc: dziesięć słoni dla nasion; pół godziny od ostatniego grzmotu dla nas.

Flora świeciła na zeszyt, kiedy pisałem. Mówiła kroki z pamięci. Nie pytałem już o R.

Między krokiem 2 a krokiem 3 czknąłem dwa razy. Kruszynka dwa płomienie i kuchnia rozbłysła dwa razy jak flesz. Nikt nic nie powiedział; w tym momencie Kruszynka i ja byliśmy oświetleniem domu. Grzmot, pod stołem, słuchał, jakby te kroki były dla niego.



Flora otworzyła szklane drzwi szklarni i weszła pierwsza. Kruszynka szła przy moich butach. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Szklarnia przylega do kuchni. Jest długa i wąska, z półkami z donicami na ścianach, a pośrodku grządką, długim stołem pełnym ziemi, z kolejnymi donicami pod spodem. W dzień musi to być miejsce zielone i spokojne. W nocy, podczas burzy, cały sufit bielał przy każdej błyskawicy.

W suficie jest okno, które nigdy się nie otwiera. Flora przekręciła jego korbę: okno pozostało zamknięte, ale namalowane krople przestały się wspinać i zaczęły spływać po

szybie. Wtedy prawdziwy deszcz przeniknął przez nią i spadł na ziemię grządki.

— Cały na grządkę. Ani kropli na podłogę — rozkazała Flora, jakby deszcz był jej.

Zaraz zapachniało świeżo podlaną ziemią.

Te szyby istnieją tylko w opowieści. W prawdziwej burzy żadnych szklarni. Zobacz ostatnią stronę. –J.

— Ziemia zmoczona burzą — powiedziała Flora. — A teraz wszystko po ciemku. I szybko.



Julita została w drzwiach ze słoikiem w rękach. Zamieniła klamkę na słoik i ściskała go tak samo.

Wtedy rozległ się stukot zderzających się donic i pod grządką, w głębi, pojawiły się dwoje żółtych oczu, dwa drżące skrzydła i, co trzy sekundy, płomyczek. Hyk. Kruszynka już była w środku: wślizgnęła się między nogi Flory, kiedy ta otwierała drzwi.

Flora ostrożnie ją wyciągnęła. Kruszynka złapała się donic wszystkimi czterema łapami.

Smocz̨tko uczepione dwóch donic waży nagle tyle, ile dwie donice, a Flora, która wyrywa chwasty bez pytania o zgodę, puściła je i została na kolanach, patrząc na nie.

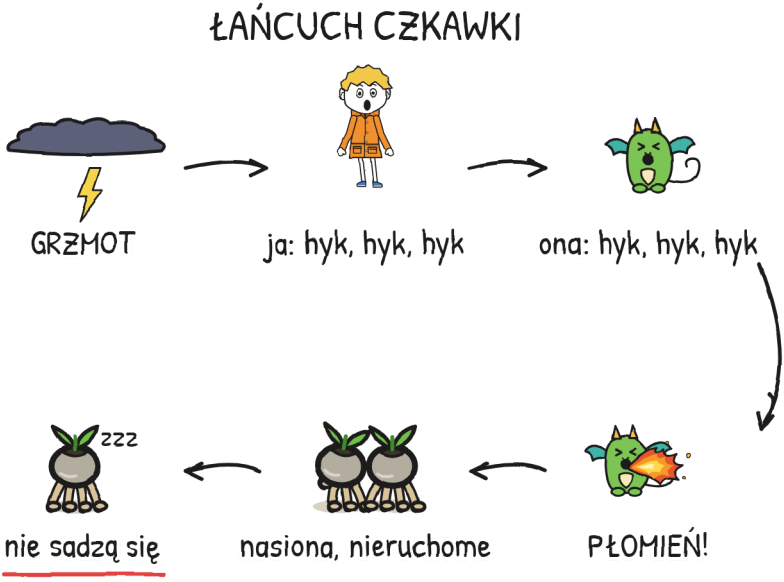
Wera ostrzegała. Ja słyszałam. Ty wypinałeś pierś. –J.

A za każdym razem, gdy ja czknąłem w kuchni, w szklarni zapalała się Kruszynka: po drugiej stronie drzwi donice rozświetlały się od dołu. Hyk: blask. Hyk: blask. Jak światło w lodówce, tylko że drzwiami byłem ja i nie umiałem się zamknąć.

W kuchni czknięcie nam pomagało: płomień, nieruchome nasionko, złapane nasionko. W szklarni nas pogrążało. Przy płomieniu co trzy sekundy nigdy nie było dość ciemno, żeby je zasadzić. Między grzmotem a Kruszynką, w durszlaku, byłem ja.

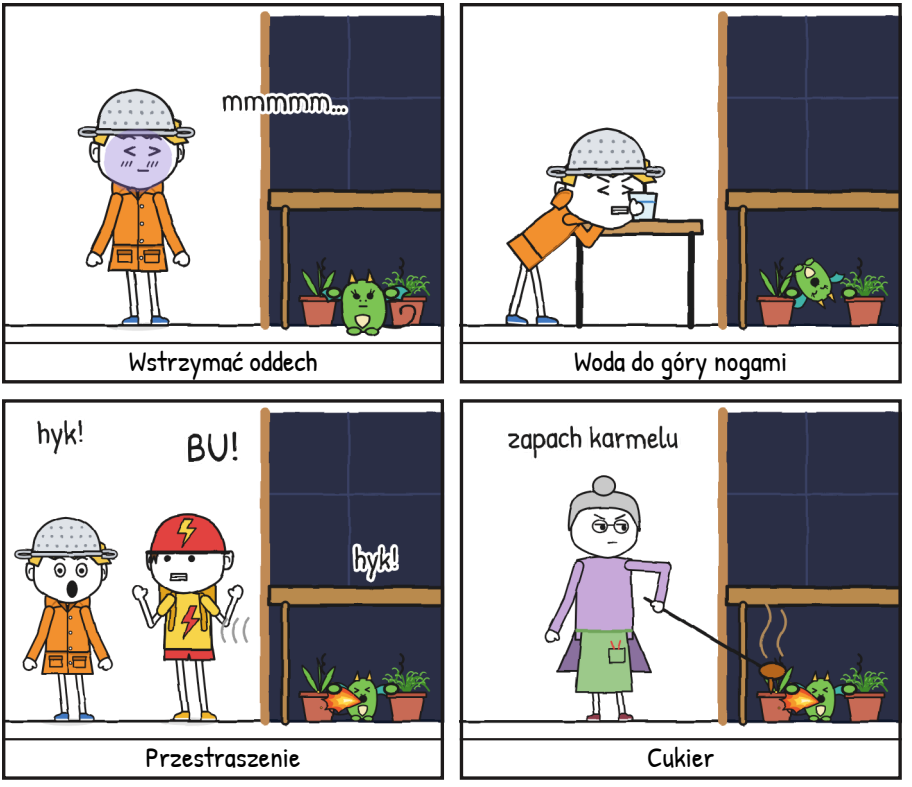
Narysowałem to, żeby zrozumieć.

Wypróbowaliśmy wszystkie sposoby na czkawkę, z Kruszynką w roli pomocnicy: kopiowała sposób i, w gratisie, czknięcie.



Trzeba przerwać łańcuch. Najłatwiejszym ogniwem jesteś ty. Z czułością. –J.

Wstrzymanie oddechu: ja zrobiłem się fioletowy, a ona jeszcze bardziej zielona. Picie wody do góry nogami: skończyłem z wodą w nosie. Przestraszenie wziął na siebie Tonio, który krzyknął „BU!" bez ostrzeżenia: przestraszyłem się, a czknąłem tak samo, a płomień Kruszynki osmalił mu błyskawicę na kasku. Na koniec łyżka cukru, pomysł Flory: ta Kruszynki zamieniła się w karmel, zanim dotarła do jej pyska, a szklarnia długo pachniała jarmarkiem.



— Cztery słonie. Pięć.

Zagrzmiało. Zacisnąłem zęby. Hyk.

— Ta błyskawica uderzyła dalej — powiedziała Julita.

Siedem nasion krążyło w słoiku. Ani one nie znajdowały wyjścia, ani ja nie znajdowałem sposobu, żeby zamilknąć.

— Do dziesięciu — powiedziałem. — Jeszcze możemy.

Przy następnej błyskawicy Tonio zaczął szybko liczyć.

— Tak się nie liczy — powiedziała Julita.

Zamknął usta. Flora czekała ze zgaszoną latarką. Nie kazała mi się spieszyć. To było prawie gorsze.

— Kruszynka naśladuje twój strach — powiedziała Julita.

— To niech naśladuje coś innego — powiedziałem.

Hyk. Płomień.

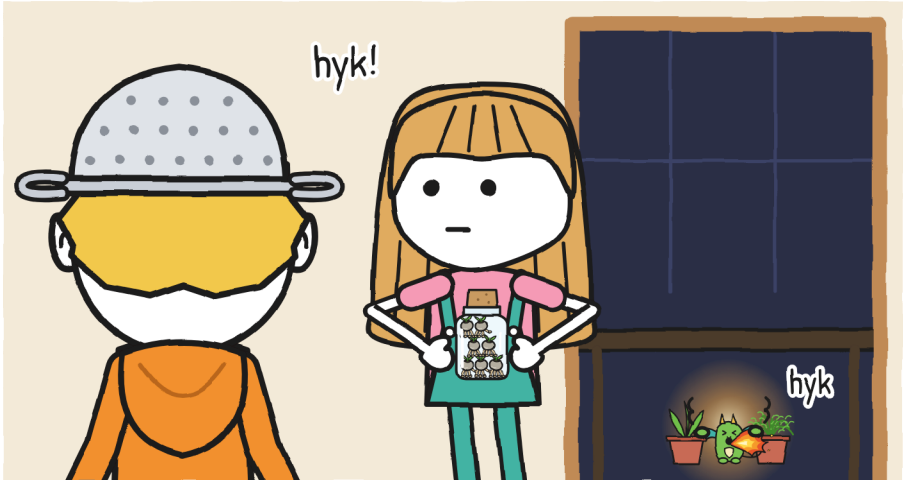
— A jeśli wyniesiemy ją do kuchni? — zapytałem.

— Trzyma się. Sam widziałeś.

Spojrzałem na drzwi szklarni. Wydawały mi się o wiele dalej niż przedtem.

Julita ściszyła głos.

— Najpierw zostań z nią.



Miałem plan. Szkopuł w tym, że nie nadawał się do tego.

Mój plan, żeby nie było widać, że boję się grzmotów:

1. Powiedzieć, że je uwielbiam.
2. Nie czkać.
3. ???

Punkt 2 skreśliłem tej nocy czknięciami, aż nie dało się go odczytać. Punkt 1 jeszcze stał, ale nikt już w niego nie wierzył, ja też nie.

A punkt 3? –J.

Próbowałem. Naprawdę.

Podszedłem do progu. Julita odsunęła się ze słoikiem, żeby zrobić mi miejsce. Nikt mnie nie popychał.

Postawiłem stopę w szklarni, bardzo zdecydowanie, z durszlakiem na głowie i ręką na framudze. Stopa weszła dobrze. Weszła tak, jak noga wchodzi do basenu w maju: noga tak; reszta, zobaczymy.

Błyskawica wybieliła cały sufit. Policzyłem bezwiednie: pięć słoni.

GRRRUM!

Zaczarowane szyby nie zatrzymywały hałasu. Cały sufit zabrzmiał jak bęben. HYK! Pod grządką: HYK! i płomień.

Następne, co pamiętam, to że znów jestem w kuchni, przyklejony do lodówki, z durszlakiem naciągniętym po brwi. Nie

pamiętam, żebym szedł. Moje stopy, tak jak ręce, mają własne nawyki.

Stałem przy lodówce z zimnymi rękami i sercem w uszach. O dwa palce od mojej głowy wisiała fotografia bulwaru: rząd światełek, które na razie gasiłem czknięciami.



Od drzwi spojrzałem w górę, przez szklany dach. I między jedną błyskawicą a drugą zobaczyłem je: smoki Wery, latające w środku burzy.

Były cztery. Trzy ogromne, niebieski, pomarańczowy i fioletowy, przecinające błyskawice, jakby błyskawice były światłami toru, a między nimi czwarty, czerwony, mniejszy. Latały wysoko nad dachem, w samej burzy, tam, gdzie grzmi najmocniej, i nie było po nich widać żadnego pośpiechu. Błyskawica rysowała je całe, białe, z każdą łuską; potem gasła i było widać, że nadal tam są, bo deszcz na dachu rozpadał się na cienie.

Dlatego Wera nie przyszła z nami: podczas burzy smoki wylatują, a ona zostaje w domu i czeka na nie, aż wrócą. Spojrzałem na smoki, a potem na grządkę. Kruszynka któregoś dnia poleci z nimi. Tej nocy leżała zwinięta w kulkę między donicami i naśladowała mnie.

One nie czkały.



— Chodź, łowco — powiedział Tonio.

Czekałem na żart. Nie przyszedł. Tonio położył mi rękę na ramieniu.

Zdjąłem durszlak i oddałem go Florze.

Flora trzymała go za uchwyty jak prawdziwy hełm. Przeciągnąłem ręką po przyklepanych włosach. Głowę miałem tak samo ciężką.

I wszedłem.

W środku deszcz brzmiał jak tysiąc palców bębniących naraz. Wczołgałem się na czworakach pod grządkę. Kruszynka tam była, zwinięta w kulkę, drżąca tak jak ja.

Pachniało mokrą ziemią. Przykucnąłem obok niej i objąłem kolana. Ja drżałem od brzucha, ona od skrzydeł. Razem sprawialiśmy, że donice wibrowały.

Próbowałem liczyć. „Jeden słoń, hyk, dwa sło..., hyk". Czknięcia wciskały się między słonie. Zgubiłem rachubę.

Pomyślałem o wyjściu. Moje nogi już zaczęły.

Kruszynka zacisnęła donice wszystkimi czterema łapami.

Zostałem.

GRRRUM! Czknąłem. Kruszynka czknęła. Płomień oświetlił nas oboje.

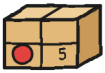
Miała moją minę. Z łuskami.

Byliśmy dwoma łowcami burz pod grządką.

Wtedy od drzwi Julita odezwała się cicho, bez uśmiechu:



— Licz na mnie.



ROZDZIAŁ 5

Licz na mnie

I liczyliśmy. Ona od drzwi, a ja pod grządką, w kucki, z drżącą Kruszynką przytuloną do mojego płaszcza.

Błyskawica.

— Jeden słoń. Dwa słonie. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć.

Grrrum.

— Sześć: jakieś dwa kilometry — powiedziała Julita. — Ta błyskawica uderzyła dalej. Nadal jesteśmy pod dachem.

Tym razem wiedziałem, że grzmot przyszedł na szóstce. Bez liczenia byłby to po prostu kolejny grzmot. Liczenie dało mi coś do roboty, kiedy czekałem.

Kruszynka nadal drżała, przytulona do mojego płaszcza.

Próbowałem już durszlaka. I wody. I wyjścia ze szklarni. I wejścia z powrotem.



— Boję się grzmotów.

Powiedziałem to w stronę donic. Julita i tak mnie usłyszała.

— Wiem. Narysowałeś to dziś rano, kiedy powiedziałeś, że jesteś łowcą burz. Czekałam na ciebie.

Julita już wcześniej powiedziała mi, że Kruszynka naśladuje mój strach. Ja szukałem czegoś innego do naprawienia: czkawki, donic, drzwi.

Tym razem nie powiedziałem „ale".

Nie podziękowałem na głos. Zostawiam to tutaj.

Przeczytane. Nie ma za co. –J.

— A ja boję się kotów — powiedział Tonio.

Grzmot spał na jego kolanach. Tonio nie poruszył rękami.

— A ja czekania na coś, co nie przychodzi — powiedziała Flora. — Dlatego otwierałam słoik od razu.

A ja kładek. To już wiedzieliście. –].

Nikt się nie roześmiał.

Na dworze padało tak samo. Kruszynka tuliła się do mojego płaszcza. Pod grządką nie byłem już sam.

Oddychałem powoli, jak na kładce. Wdech. Wydech. Kruszynka oddychała razem ze mną. Kiedy przestała drżeć, mnie też trochę zwolniły się ręce.



Błyskawica. Liczyliśmy razem do dziewięciu. Grrrum. Tonio, z krzesła, powiedział cicho „razdwatrzy” i zatrzymał się na trzech, tam, gdzie zatrzymuje się zawsze. Grzmot nawet się nie obudził.

I nie czknąłem. Ani przy tym grzmocie, ani przy następnym.

Czekałem na czknięcie i nie przyszło. Kruszynka przechyliła głowę. Po raz pierwszy tej nocy w szklarni było ciemno tak długo, jak trzeba.

— Teraz! — szepnęła Flora.

Julita weszła na palcach, po ciemku. Spod grządki, z kucków, usłyszałem, jak jej trampki przechodzą obok mnie, powoli, jedna za drugą, jakby podłoga szklarni była kładką. Postawiła słoik na mokrej ziemi i go odkręciła. Korek zrobił małe pop, z tych, co proszą o wybaczenie; nic wspólnego z POP! z kuchni. Potem wróciła do drzwi bez szmeru, bez biegu, ze stopą w bezruchu.

Tym razem otworzyłam słoik na czas. Żeby było jasne. –J.

Tik, tik, tik. W ciemności coś wychodziło ze słoika.

Nic nie było widać: było słychać. Siedem drobnych odgłosów korzonkowych łapek, schodzących po szkle i stających na mokrej ziemi, jedno tik na każdą, trochę wolniejsze niż deszcz. Chyba to najmniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałem, i nigdy nie słuchałem niczego z taką uwagą, nawet skorupki jajka Kruszynki, kiedy pękała dwie soboty temu.

Błyskawica, bardzo daleko. Liczyliśmy bezgłośnie, samymi ustami, Julita w drzwiach, a ja pod grządką: jeden słoń, dwa, trzy... siedem słoni, osiem, dziewięć, dziesięć... Grrrum.

Dziesięć. Jeszcze jeden słoń i wszystkie siedem zasnęłyby na ziemi aż do następnej burzy. Dziesięć było ostatnim, który się liczy.

Przy następnej błyskawicy zobaczyliśmy:

Słoik leżał pusty na końcu grządki. W ziemi było siedem dziureczek w rządku, jak w flecie, a w ostatniej wciąż sterczała nóżka z korzonka, która właśnie się chowała: ostatnia.



Potem znów zrobiło się ciemno, a przy następnej błyskawicy nóżki już nie było.

Potem chwila niczego. Tylko my, po ciemku, patrzący na grządkę ziemi.

Flora trzymała złożone dłonie przed ustami. Tonio nie ruszał się, przez kota. Julita, tym razem, też nie. Kruszynka i ja oddychaliśmy w tym samym czasie.

I wtedy zapalił się pierwszy.

To było światełko pośrodku grządki, zielone i złote, wielkości płomienia świeczki, i wychodziło z ziemi. Rosło. Wspięło się po cienkiej łodydze, jak sok w słomce, a na górze otworzył się okrągły, zamknięty kwiat z cienkiego papieru, ze światłem w środku. Potem zapalił się drugi. Potem nie umiałem już liczyć ich po kolei, bo zapaliły się wszystkie pozostałe prawie naraz, jak latarnie na ulicy, gdy zapada noc.

Siedem lampioników. Każdy z kawałeczkiem błyskawicy w środku.

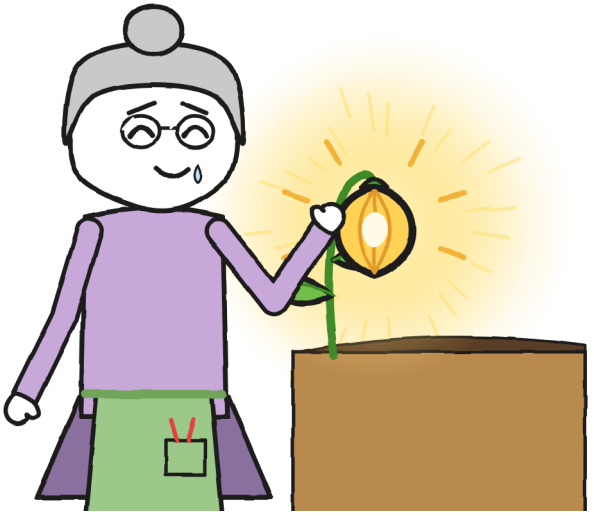
To nie było światło błyskawicy. Błyskawica bieli całą szklarnię na nic i zostawia cię gorzej niż przedtem. To było żółte, z odrobiną zieleni, i zostawało: błyskawica nieruchoma, taka, która nauczyła się czekać. Oświetlało tyle, ile trzeba: ziemię, łodygi, twarze. Florę, z rękami na głowie. Julitę, z otwartymi ustami i niczym w środku do powiedzenia. Tonia, z Grzmotem na rękach, nie wiedząc, jak kot się tu znalazł. I Kruszynkę i mnie, świeżo wyczołganych spod grządki. Kruszynka patrzyła z otwartym pyszczkiem, tak jak ja. Już nie naśladowała mojego strachu. Naśladowała to.



Daleko, bardzo daleko, znów zagrzmiało. Julita liczyła z przyzwyczajenia, cicho, i po drodze zgubiła liczbę.

Flora długo nic nie mówiła. Potem dotknęła jednego z kwiatów czubkiem palca, powoli, jak ktoś, kto dotyka czegoś, na co długo czekał.

— Tak wyglądał bulwar — powiedziała.



Powiedziała to w stronę kwiatu. Na fotografii na lodówce było takie światło, i takie, i takie, aż do kładki.

Florze zaparowały okulary. Nie napiszę, że płakała. Rysuję to, a to nie to samo: Flora nie z tych, które płaczą; Flora z tych, które podlewają.

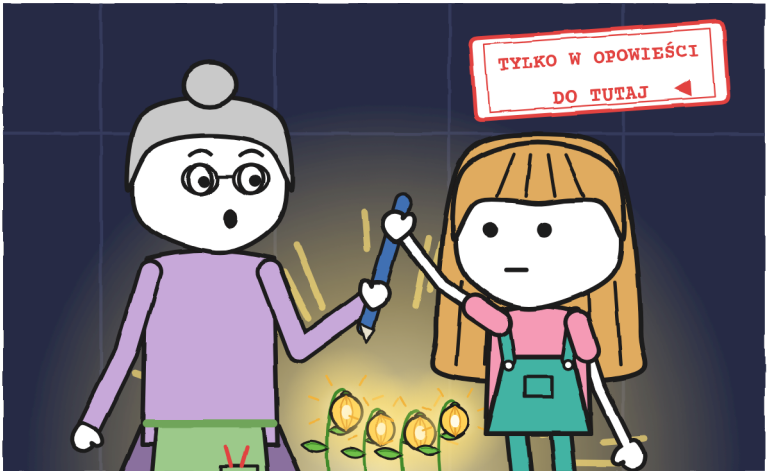
Ja też dotknąłem jednego. Kruszynka też, łapką, bardzo ostrożnie. Był letni, jak kamień słoneczny w gnieździe Kruszynki, który chowa ciepło dnia. Ten chował coś innego i chował to równie dobrze. Paprocie Flory, nawiasem mówiąc, ocalały.

Flora przekręciła korbę. Namalowane krople znów zaczęły się wspinać i przestało padać na grządkę. Potem, tam, między lampionikami, wyjęła długopis, żeby podpisać.

Był niebieski. Nie zdążyłem sprawdzić, czy się zmazuje, bo Julita już trzymała na nim rękę.

— Jeszcze nie — powiedziała Julita i zatrzymała jej dłoń. — Brakuje jednego. Ósmego. Uciekło przeze mnie: otworzyłam słoik za wcześnie.

Julita cały dzień czekała na ten podpis. Właśnie zatrzymała go dwoma palcami.



Flora została z długopisem w powietrzu. Potem go schowała.

— Dobrze — powiedziała.

Wróciliśmy do kuchni po jednym, z siedmioma lampionikami świecącymi za szybą. Już w kuchni Flora stanęła przed nami:

— Podwórko nadal zamknięte. Jeszcze nie wychodzimy.

Nikt nie dyskutował.

Julita odkleiła z pudła etykietę, powoli, żeby jej nie podrzeć, i schowała ją do kieszeni ogrodniczek, jak się chowa klucz.

Jeśli się dostarcza, to w całości. –].

Czekaliśmy w kuchni, aż Julicie skończyły się błyskawice do liczenia.

Dwanaście słoni. Szesnaście. Dwadzieścia jeden, i grzmot, który nie był już grzmotem, tylko odgłosem przesuwanego mebla dwa piętra wyżej. Potem niebo rozbłysło ostatni raz za chmurami, a Julita liczyła, dopóki nie skończyły jej się słonie i nic nie przyszło. Za szybami przestało padać. Burza odeszła. Mimo to Flora trzymała nas w domu jeszcze pół godziny, liczone od ostatniego grzmotu. To była zasada Julity i tym razem to ona musiała jej przestrzegać, z zaciśniętymi zębami.

Flora otworzyła tylne drzwi. Podwórko było mokre i nieruchome, z błyszczącymi płytami, a między chmurami widać było gwiazdy, kilka, z tych, które wychodzą zobaczyć, co się stało. Julita stanęła na progu, a ja obok niej.

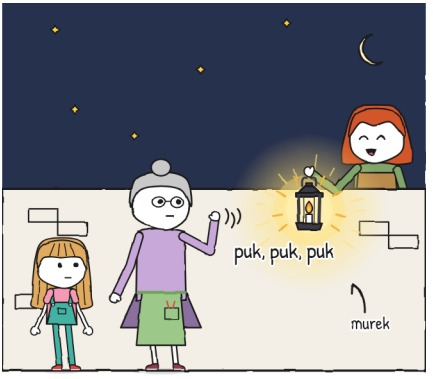
Ósme nadal było na dworze. Z domu Flory nie było widać kładki: zasłaniała ją ściana bulwaru. Jeśli nie znalazło ziemi na czas, było już zwykłym kamieniem. Pomyślałem o deszczu spływającym do kanału i przestałem patrzeć na wodę.

I zostawał termin, jak zawsze: bez podpisu Flory o świcie paczka nr 2 wróci lotem na swój regał. Mieliśmy czas do wschodu słońca.

— Chodźmy je poszukać — powiedziała Julita.

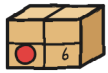
Julita znów miała rękę na klamce. Teraz drzwi były otwarte.

Flora długo patrzyła w noc. Potem zapukała trzy razy w murek podwórka, ścianę Domu Smoków, tak jak mówiła Wera. Puk, puk, puk. Knykciami, bez pośpiechu.



Nad murkiem, po drugiej stronie, zapaliło się światło latarni.

— Tym razem — powiedziała — nie pójdziecie sami.



ROZDZIAŁ 6

Ósme

Wyszliśmy z dwiema dorosłymi, latarnią i rowerem. Wcześniej Flora zadzwoniła do mojego domu i do domu Julity: „Dziś wieczorem wrócą do domu, i nie sami".

To było pierwsze wyjście w moim życiu, które odbyło się z listą:

- Wera, z latarnią.
- Flora, z latarką.
- Tonio, z rowerem, prowadzonym tak, żeby dynamo dawało światło.
- Julita, z pustym słoikiem i etykietą w kieszeni ogrodniczek.
- I ja, z Kruszynką w płaszczu, z głową na zewnątrz.

Wera przyszła ulicą minutę po uderzeniach, z mokrymi rudymi włosami i latarnią w górze. Stanęła przed nami, nie pytając, kto co zgubił.

Kruszynka i ja już nie drżeliśmy.

Szukaliśmy na podwórku, na ścieżce, nad brzegiem kanału.

Flora sprawdzała płyty latarką. Tonio objechał krawężnik, prowadząc rower. Julita dotykała kamieni bulwaru, czy któryś nie jest ciepły. Kruszynka i ja zaglądaliśmy pod każdy krzaczek. Nic.

Uśpione nasionko jest nocą zwykłym kamieniem. A bulwar ma kamieni mnóstwo: odkryłem to tej nocy, na kolanach, obok Julity. Wszystkie wyglądały na uśpione nasiona. Żaden nim nie był.

Tonio szukał tak, jak rozwozi: cały bulwar w dziesięć minut, tam i z powrotem, a potem jeszcze raz.

Światło latarni wypełniało mokre kamienie odblaskami. Wtedy pomyślałem: świeżo wyrośnięty lampionik świeciłby słabo. Szukaliśmy maleńkiego światełka, mając zapalone nasze trzy światła: zjadały je.

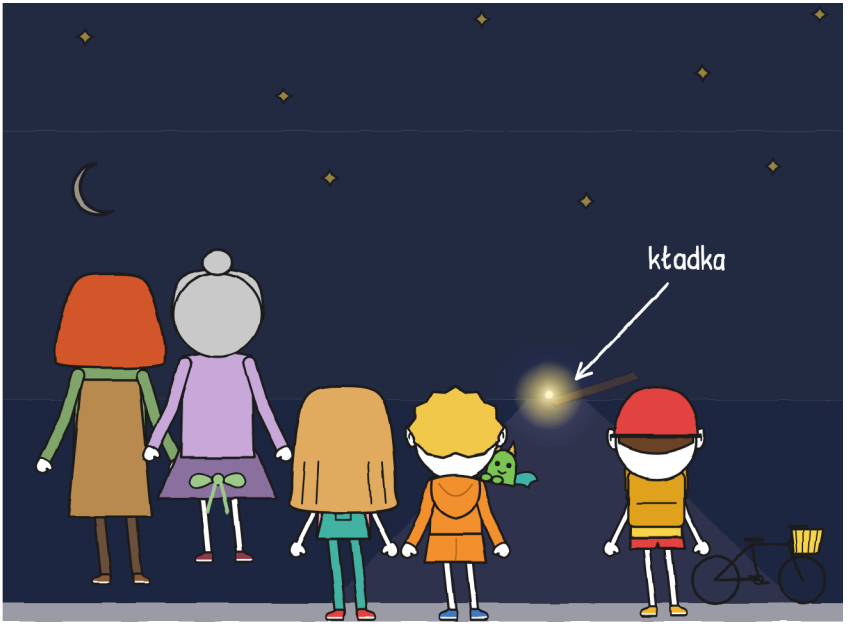
— Zgaście wszystko! — powiedziałem.

Nikt nie zapytał dlaczego. Tonio zahamował i światło roweru zgasło (BŁYSKAWICA nigdy się nie zatrzymuje). Wera przykręciła płomień latarni, aż został z niego nic. Flora zgasiła latarkę. Przez chwilę na całym bulwarze nie było żadnego światła.

I w ciemności, na końcu bulwaru, pojawiło się światełko.

Było u stóp kładki.

Julita ruszyła w jego stronę. Reszta za nią.



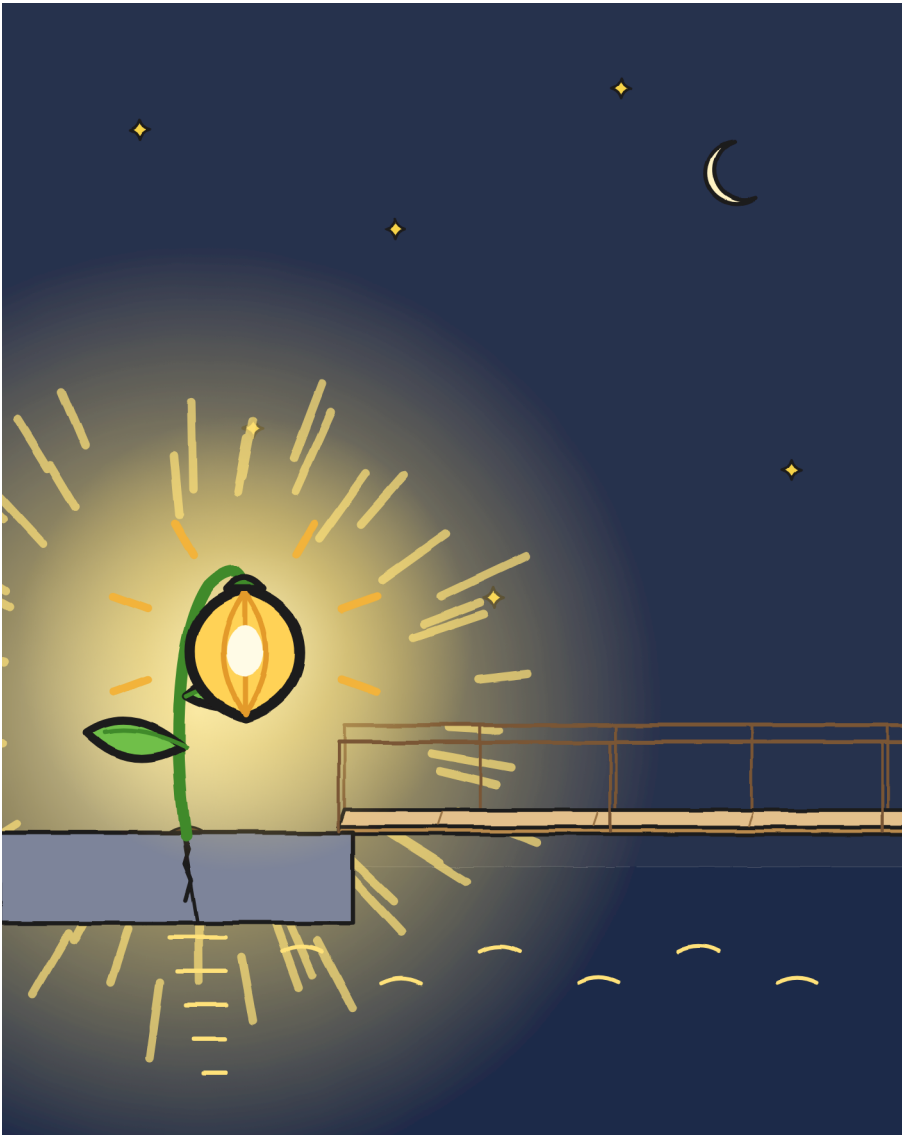
Deszcz zaniósł je ścieżką aż na bulwar i nasionko utknęło w szczelinie między dwoma kamieniami, z tych, w których zawsze jest palec ziemi i trawka, której nikt nie sadził. Tam zasadziło się samo. Z daleka — światełko. Z bliska — rozświetlało wszystko.

Miało krzywą łodygę i to samo światło, co siedem ze szklarni. Oświetlało początek kładki i kawałek wody.

Julita patrzyła na kładkę. W świetle wyglądała inaczej: krótsza, szersza, bardziej z drewna niż z wody. Tym razem było widać, gdzie się kończy.

Postawiła jedną stopę na desce. Tylko jedną. Potem ją cofnęła. To nie był krok, to była próba, ale stopa została przez chwilę mocno postawiona, ze światłem ósmego pod spodem, i

nikt nic nie powiedział. Ja nie powiedziałem „krok”: tym razem ona widziała drogę.

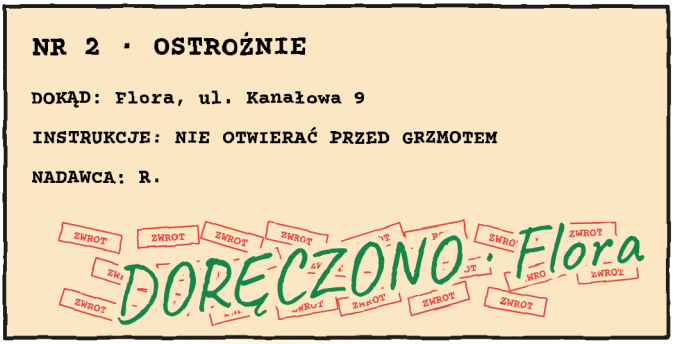


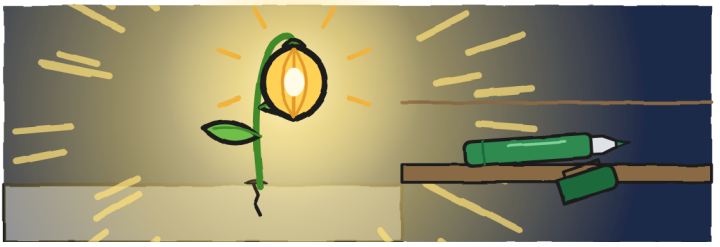
Z daleka już się nie boję. Z bliska prawie też nie. –J.

— To zostaje tutaj — powiedziała Flora. — Wybrało sobie miejsce.

Julita wyjęła etykietę i swój zielony flamaster. Flora oparła ją o brzeg kładki i podpisała w świetle ósmego.

Na dwudziestu trzech pieczątkach ZWROT napisano na zielono: DORĘCZONO · Flora.





Przy pożegnaniu w drzwiach Flora dała mi swój durszlak.

— Zatrzymaj go. Na następną burzę.

Potem dodała:

— Powiedz Marze, że najwyższy czas.

Podała mi go za uchwyty, jak prawdziwy hełm. Nie powiedziała „jeśli będzie jeszcze burza”: powiedziała „następną”, tak jak się mówi „w następną sobotę”. Teraz wisi na klamce okna w moim pokoju, nad pudłami, które nadal są zamknięte. To pierwsza rzecz w tym pokoju, która nie przyszła w żadnym pudle.

O wiadomość dla Mary nie zdążyłem nic zapytać: Flora zamknęła drzwi, zanim się obejrzałem. Karta R. wyglądała tak:



6. Nikt nie mówi, jak R. się nazywa. To też trop. —J.

Wera położyła Kruszynkę w jej gnieździe, śpiącą, zanim dojechaliśmy, na moim swetrze w paski, który leży tam od dwóch

sobót i pachnie już bardziej nią niż mną. „Jej pierwsza burza”, powiedziała i otuliła ją po brodę. Spała z lekko otwartym pyszczkiem, tak jak ja, według mamy. Burzy nie zapamięta. Od tego ma ten zeszyt.

Potem zawiozła nas do sklepu swoją furgonetką, z rowerem Tonia położonym z tyłu, przez most drogowy: Wielki Most był już podniesiony. Julita usiadła przy oknie od strony kanału i patrzyła na wodę wprost przez cały most: czegoś szukała. I było to widać. Na samym końcu, u stóp kładki, malutkie, było światło. Jedno. W kanale, który od lat nie miał żadnego.

Sklep tonął w ciemności. Nie tylko bez światła: ciemno całkiem, nawet napis; to, co było widać, pochodziło z latarni ulicznej. Wera zostawiła nas pod drzwiami i wróciła do swoich smoków, które po burzy, jak powiedziała, długo zasypiają. Mary nie było przy ladzie.

Była pod spodem.

Wychyliliśmy się we troje nad ladą, Julita, Tonio i ja, w rządku, z podbródkami opartymi na drewnie, a tam w dole, we wnęce, była Mara: owinięta kocem po szyję, w nausznikach i z rondlem na głowie, a kapelusz na rondlu, bo Mara nie zdejmuje kapelusza nawet na tę okazję. Tuliła gumową żabę. Moją żabę. Tę, która do nikogo nie należała. Wiem już, do czego Mara jej potrzebowała.

— Już po wszystkim? — zapytała.

Znałem ten głos. Był moim, kiedy mówiłem spod łóżka.

— Dawno — powiedziała Julita.

Mara nadal tam siedziała: koc, nauszniki i rondel.

Dwadzieścia trzy razy niosła tę paczkę. Ani razu w burzę.

Tego ranka miała już wszystko przygotowane na końcu lady: koc, nauszniki, rondel. Widziałem to i patrzyłem dalej na paczkę.

„Coś do zrobienia". No tak. —J.

Przekazałem jej wiadomość od Flory.

Mara nie zapytała, jaka Flora, ani jaki czas, ani czas na co. Nasunęła rondel aż na brwi, co jest najbliższe zaczerwienieniu się, jakie można osiągnąć z rondlem na głowie, a pod nim wydało mi się, że widzę uśmiech, którego już nie używa, ten ze starej fotografii dwóch młodych czarownic, tej z naklejką, która wisi za ladą. Mara i Flora się znają, i to nie tylko z dwudziestu trzech dostaw. Nie wiem skąd; idzie na listę pytań na inną sobotę, która ma już drugą stronę.

— Ja też boję się grzmotów — powiedziałem jej.

Za pierwszym razem, pod grządką, kosztowało mnie to całą burzę. Za drugim razem wyszło samo, jak czknięcie.

Mara nic nie powiedziała. Uniosła koc.

Włożyłem durszlak, którego nie puściłem od drzwi Flory. Po to mi go dali. I wszedłem z nią pod ladę.

Zmieściliśmy się.

Mara miała rondel; ja durszlak. Ona nadal tuliła żabę. Nad ladą wystawały Julita i Tonio. Nikt się nie śmiał.



Siedzieliśmy tak, aż Marze przeszło, albo aż zdrętwiała mi noga, co na jedno wychodzi. Kiedy wyszła, zapaliła światło, a Julita położyła etykietę na ladzie, obok pieczątki: dwadzieścia trzy ZWROT i nad nimi DORĘCZONO · Flora. Mara przeczytała ją, nie dotykając, bardzo długo, tak jak czytała tę z paczki nr 1. Potem spojrzała na koniec lady, gdzie nie było już koca, i poszła poszukać skrzynki.

Postawiła Toniowi odwróconą skrzynkę do rozwożenia, przy taboretach.

— Na razie — powiedziała.

„Na razie” u Mary mogło trwać dość długo.

Tonio usiadł. Skrzynka była tak niska, że kolanami prawie dotykał podbródka. Został.

Julita podała mu zielony flamaster.

Na plecaku, po „chyba że burza”, Tonio dopisał dwa słowa:

„i koty”.



Teraz drobny druk mówi prawdę. –J.

Potem Julita weszła na mój niebieski taboret, ten najbliższy ściany, skreśliła 19 na napisie i obok napisała 18, większe, z ochotą, żeby też je skreślić.



Poprawiłem swój plan. Na grzmoty:

1. Liczyć słonie.
2. Z kimś.
3. Jeśli czknę, nic się nie stanie.

I nie mówić, że jest się łowcą czegokolwiek. –J.

Zamykaliśmy, kiedy zadzwonił dzwoneczek.

Dzyń.

Nie od drzwi. Od regału ze zwrotami: nr 3, obok dwóch pustych miejsc.

Podszedłem przeczytać etykietę.

NR 3 · DLA TONIUSIA.

Tonio zrobił się koloru swojego kasku.





Kto wysyła paczki Toniowi? –J.

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 3

(już niedługo)

JEDNA HISTORIA, SZEŚĆ ROZMIARÓW

Ta książka istnieje w sześciu rozmiarach, dla dzieci od 3 do 16 lat, i w ponad 20 językach. XXS, XS, S, M i L opowiadają historię strona po stronie, na tych samych rysunkach i z coraz większą liczbą niuansów. XL to powieść: ta sama historia, z miejscem na wszystko, co Guni myśli, ale czego nie mówi.

Poziomy według ESOKJ są orientacyjne: XXS, pre-A1 · XS, A1 · S, A2 · M, B1 · L, B2 · XL, B2–C1.

Każdy w swoim rozmiarze. Ta sama burza. —J.

DLA RODZIN I NAUCZYCIELI

Pracuj nad każdym rozdziałem na linguaula.com (z ćwiczeniami z rozmiaru L)

PRAWDZIWA BURZA: CO ROBIĆ

1. Jeśli usłyszysz grzmot, nawet daleko, wejdź do domu: piorun może już do ciebie dotrzeć.
2. W środku, z dorosłym, z dala od okien, drzwi i szyb. Żadnych szklarni, mostów, drzew ani wody.
3. Nie wychodź, dopóki nie minie pół godziny od ostatniego grzmotu.
4. Liczenie słoni pozwala sprawdzić, czy piorun uderzył blisko, czy daleko, i uspokaja. Nie pozwala sprawdzić, kiedy wyjść.

POLICZ SWOJĄ BURZĘ

Z wnętrza domu: licz słonie między błyskawicą a grzmotem.

Błyskawica	Słonie	Kilometry (1 co 3, mniej więcej)	Ten piorun: bliżej czy dalej?
1	15	5	–
2	9	3	bliżej

Masz czkawkę od grzmotów? Licz słonie. I licz z kimś. –J.